

Dwukrotnie spotkałem się osobiście z Janem Pawłem II

W 1989 roku Jan Paweł II odwiedził Indonezję. Przygotowania trwały długo przed przyjazdem. My Polacy marzyliśmy o osobistym spotkaniu z Nim. Zabiegałem o to w komitecie przygotowawczym. Tę naszą prośbę komitet przedstawił organizatorowi oficjalnemu ze strony Watykanu. „Nie ma mowy, bo jak papież spotka się z Polakami, to zapomina o czasie i nam trudno utrzymać czasowo harmonogram wizyty.” Takie była zdanie przedstawiciela Watykanu. Będziemy mieli okazję zobaczyć ojca świętego z bliska, ale gdzieś w tłumie. Trudno.

Parę miesięcy przed odwiedzinami papieża arcybiskup Donatus Djagom, arcybiskup Ende na Flores, był w Surabaya i przekazał mi prośbę siostry Clarisy OSF, bym pomógł jej w kuchni w czasie tej wizyty. Jestem kucharz samouk, ale się zgodziłem. Z szefową kuchni uzgodniłem jadłospis; dla papieża miały być polskie potrawy. Ale, com gotował, tego nie zdradzę.

Na trzy dni przed przylotem papieża na Flores polecieliśmy wojskowym Herkulesem do Maumere, wioząc ze sobą parę ton ekwipunku i ... parę kontenerów jedzenia. Toć świta papieska miała wynosić ponad 60 osób.

Miejsce noclegu papieża – seminarium duchowne w Ritapiret – już od tygodnia było ściśle strzeżone. Wewnątrz seminarium porządku pilnowała ekipa przybocznej straży prezydenta. Zaglądali wszędzie.

Następnego dnia już trzeba było zacząć przygotowania w kuchni. Aż tu nagle zjawia się u mnie jeden ze straży i w imieniu komendanta powiada mi: „Ksiądz chyba nie będzie mógł przebywać w tym kompleksie.” (Prawdopodobnie komitet zapomniał wpisać moje nazwisko na listę „osób bezpiecznych”.) Odpowiedziałem mu, by się udał do siostry, bo ona jest odpowiedzialna za kuchnię. Reakcja siostry go zaszokowała, gdy jej oznajmił, że ja nie mogę przebywać na terenie seminarium, bo to jest strefa najwyższego bezpieczeństwa. „Jeśli o. Glinka mi nie śmie pomagać, to opuszczam kuchnię i niech straż prezydencka gotuje.” To rzeczywiście nie była łatwa sprawa, przygotować kolację i śniadanie dla papieża i jego świty. W sumie dla ponad 60 osób. Na takie stanowisko siostry Clarity, dowódca straży zgodził się na mój pobyt.

Dowódca chyba sześć razy w ciągu dnia zaglądał do kuchni. Jako lekarz miał prawo zbadać, co gotowaliśmy. Najpierw, czy mam atesty na wszystko jedzenie, które przywożem z Jawy. Miałem. Potem zaglądał nawet do garnków. Szczególnie mnie miał na oku. Gdy następnego dnia robił to samo, powiedziałem mu: „Przepraszam, ja nie wiem, jaki pan ma stopień wojskowy (prywatnie słyszałem, że jest pułkownikiem), nie wiem więc, jaką pan ma grupę, ja jestem profesorem i mam grupę IVe. Może będziemy ze sobą rozmawiali na tym poziomie, bo mnie pan stale w pracy przeszkadza.” Popatrzył na mnie, odwrócił się i więcej się w kuchni nie pokazał. Nie spodziewał się takiej reakcji z mojej strony. Grupa IVe w wojsku odpowiada stopniowi generała armii. Jako pułkownik miał co najwyżej grupę IVb.

To jako wprowadzenie.

Dzień przylotu papieża. My w kuchni czuliśmy już, jakby nam nogi powchodziły pod łopatki. Trzy dni bezustannie na nogach.

O godzinie 18. miał papież z całą świtą już być w seminarium na kolacji i krótkim odpoczynku. O 17. pobiegliśmy wszyscy się wykapać i godnie przebrać. Kwadrans przed 18. staliśmy ju wszyscy w szeregu, by przyjąć wysokiego gościa. A tu już minęła 18., 18.30, a papieża ani słychu ani widu. Przyjechał krótko przed 19.

Arcybiskup Donatus nas przedstawił. Ja byłem trzeci w szeregu. Ojciec św. dla każdego miał jakieś miłe słowo. Wreszcie „o. Glinka” powiedział arcybiskup. A Ojciec św. zamiast mi podać rękę wskazuje na mnie i jakby z nieowierzaniem pyta „To jest o. Glinka?” Zgłupiałem. „Ojczy, ja czytałem ojca książki.” Oszupiałem całkowicie. Do każdej podróży

przygotowywał się Ojciec św. bardzo solidnie, ale żeby go aż antropologia Indonezji interesowała, tego nie przypuszczałem.

Ks. Prałat Dziwisz denerwował się: „Gdzie jest jedzenie? Za godzinę Ojciec św. ma spotkanie z duchowieństwem.” „Wiem, wiem, - odpowiedziałem - tylko dlaczegoście się tak spóźnili. Za 10 minut jedzenie będzie na stole.” Wszystko było przygotowane, tylko przenieść półmiski do apartamentu papieskiego. Nim papież pobłogosławił ostatniego w rządku, stół był gotowy.

Dwie siostry stały na zewnątrz z potrawami, ja obsługiwałem wewnątrz. Stałem więc, ale Ojciec św. kazał mi się i opowiadać. Oczywiście rozmawialiśmy po polsku. Ks. arcybiskup oczywiście nie rozumiał nic, więc zaproponowałem Ojcu świętemu, byśmy może przeszli na angielski. „Wie ojciec – powiada Papież – wieczorem, kiedy już jestem zmęczony, najchętniej rozmawiam po polsku.”

A Ojciec święty pytał i pytał. Co wykładam, gdzie studiowałem, gdzie robiłem doktorat? Gdy powiedziałem, że doktorat i habilitację robiłem na UJocie, pytaniom Ojca świętego nie było końca: kto był promotorem, jaki miałem temat itp. Słowo „Kraków” chyba zauraczało Papieża.

Gdy ks. prałat Dziwisz i arcybiskup wyszli, by przygotować ostatnie spotkanie, Ojciec święty mnie zatrzymał, by pytać dalej. Teraz już o Indonezji, naszej pracy tutaj, o problemach, jakie napotykamy w pracy itp.

Na krótko przed godziną 20. wszedł ks. prałat Dziwisz, by ojca świętego zawołać. Ojciec św. wyszedł, a ja truchcikiem za nim. Miałem nie jechać na spotkanie z duchowieństwem, bym wracającego papieża mógł przyjąć. Ale on się obrócił i kazał mi jechać z sobą. „Ojciec pojedzie ze mną, bo musi mi pokazać Polaków.” Ojciec św. objął mnie ramieniem i prowadził do samochodu. Ojciec św. chciał, żebym jechał z nim, ale samochód był pełny. Pojechałem więc autobusem razem z kardynałami.

W auli, gdzie się odbywało spotkanie, usiadłem w pierwszym rzędzie z boku, bym po skończonym spotkaniu mógł od razu zwołać Polaków. Ponieważ przyjechaliśmy na parę minut przed papieżem, nie miałem okazji powiadomić Polaków, by po przemówieniu papieża, od razu wyszli tymi bocznymi drzwiami. Jednemu tylko zdołałem to powiedzieć i prosiłem, by wiadomość przekazał dalej.

Po skończonym spotkaniu w auli wstałem i zacząłem kiwać do Polaków, by co tchu wyszli. Ale tłok był wielki i nie łatwo było przebić się przezeń, a tu mistrz ceremonii, ks. prałat Dziwisz, pyta mnie „gdzie są ci Polacy?” Wszyscy byli zaaferowani; jedynie Ojciec święty stał spokojnie i witał się z każdym wychodzącym Polakiem. Każdego pytał, skąd pochodzi, jak długo jest w Indonezji i gdzie pracuje. Na koniec było wspólne zdjęcie. Dla wszystkich z nas niezapomniane przeżycie!

Ojciec święty odjechał do Ritapiret, a ja wsiadłem w samochód razem z ks. prałatem Dziwiszem. Byłem odpowiedzialny za cielesny komfort papieża. Po drodze zapytałem, czy może trzeba przygotować coś do picia na noc. Nie trzeba było. Jednak ks. prałat Dziwisz jeszcze chciał ze mną porozmawiać. Ojciec święty udał się jeszcze na chwilę do kościoła i już przed nim byliśmy w „apartamentach papieskich”.

Te „apartamenty” to przebudowana dawna sala, z tym, że meble przysłało ministerstwo spraw zagranicznych Indonezji. Wszystko podwójne, małżeńskie łóżka. Gdy Ojciec święty otworzył swoją sypialnię, zapytał mnie: „Co wyście mi tu przygotowali?” „Ojciec święty, to nie my, to ministerstwo.” Ci od protokołu w ministerstwie pierwszy raz przygotowywali przyjazd głowy państwa watykańskiego i jako muzułmanie nie bardzo orientowali się, że katolicycy duchowni nie są żonaci.

Po pogaduszcze z ks. prałatem Dziwiszem zapytałem watykańskich stróżów papieża, czy mam im coś do jedzenia przygotować, będą przecież pilnowali całą noc. Prosilili tylko o kawę i owoce. Zaraz opadli mnie niektórzy z gwardii prezydenckiej: „Ojciec, czy

„moglibyśmy dostać jakąś pamiątkę od ojca świętego i czy jutro mogliśmy z papieżem zrobić zdjęcie.” Wróciłem więc do ks. prałata Dziwisza i wyniosłem od niego całe narecza „świętości.”, a jednocześnie prosiłem o zdjęcie z Ojcem św. Pomyślałem: „Wczoraj chcieliście mnie stąd wygnać, a teraz prosicie mnie o taką pomoc.” Widzieli, jak mnie Ojciec święty objął ramieniem i prowadził przez podwórze i zmienili zdanie. Ktoś ich jeszcze podpuścił i powiedział, że papież jest moim wujkiem.

Udałem się jeszcze do kuchni. Tam trzeba było jeszcze przygotować wszystko na śniadanie. Spać położyłem się około północy.

Raniutko trzeba było wydać śniadanie. Ojciec św. jadł sam, tymczasem dla całej świty śniadanie przygotowaliśmy w jadalni kleryków. Towarzyszyłem ks. prałatowi Dziwiszowi. Chciał skosztować indonezyjskich przysmaków. Nałożył sobie ryżu i kury w potrawce, tzw. *gudek*, czyli kura w owocach *nanka* – na słodko. „Kura na słodko? – pyta i odkłada talerz – Zjem trochę chleba.” „A widzi ks. prałat – powiadam – a wczoraj chciał ks. prałat tym nakarmić Ojca św.” Przy stole mówiliśmy oczywiście po polsku. To stało się magnesem dla kardynała Tomko, Słowaka, i paru polskich biskupów.

Przed schodami kościoła zebrała się już cała gromada sióstr, personelu z kuchni, straży i księży, bo miało być zdjęcie z Papieżem. Ks. prałat Dziwisz poszedł zawołać Ojca św., ale pokój pusty. Papież zginął. Po chwili jednak wyszedł z kościoła i, schodząc ze schodów pyta mnie: „Co to za zgromadzenie.” „Ojcie święty, wspólne zdjęcie” – powiadam. „To zaczekajcie chwilkę, muszę się ubrać.” Był bowiem bez piuski, krzyża i pasa.

Zdjęć było parę. Ojciec św. z wszystkimi się witał i wdawał w rozmowę. Tymczasem ks. prałat Dziwisz przynaglał: „Trzeba odjeżdżać.”

Niestety wszystko miłe, szybko się kończy.



Na stadionie w Maumere



„To jest o. Glinka?”



W oczekiwaniu na zdjęcie



Jan Paweł II idzie do kościoła



„Co to za zebranie?”



Z gwardią prezydenta



Przygotowanie do zdjęcia z obsługą



Z siostrami (z lewej kard. Tomko)



Odjazd na Timor

*

Drugie spotkanie mało miejsce dwa lata później w Castel Gandolfo.

W czasie pobytu na Flores ks. prałat Dziwisz narzekał, że w Castel Gandolfo nie umie spać i prosił, czy bym przy okazji pobytu w Europie mógł sprawdzić jego tamtejszy pokój. Urlop przypadł mi w 1991 r. Pojechałem do pani Ott-Piacenza w Kempten, która obiecała dać mi bezpłatnie parę kompensatorów, które w razie potrzeby mógłbym założyć. Dała mi ich 6. W sumie ważyły około 10 kg. Niosłem to jako bagaż podręczny.

W pierwszych dniach sierpnia wybrałem się do Rzymu. Leciłem ze Stuttgartu nie odrzutowcem, który lata ponad chmurami, ale śmigłowcem. Lecieliśmy więc dość nisko nad Alpami. Mogłem po raz pierwszy podziwiać ich piękno z lotu ptaka.

Na lotnisku odebrali mnie br. Klemens i Dyzio (Dorożeński). O. Sylwester zaraz skontaktował się z o. Hejmo OP, który koordynował polskich pielgrzymów i mógł mnie skontaktować z ks. prałatem Dziwiszem. O. Hejmo kazał czekać 3 dni, czyli aż do czwartku. W tym dniu była audyencja dla Polaków. By mieć bliżej do Castel Gandolfo, w środę pojechałem do Nemi. W czwartek raniutko byłem już na miejscu. Przed pałacem wielkie zgromadzenie Polaków. Straż szwajcarska wpuszczała najpierw księży. Miałem koloratkę, więc bez trudności wszedłem na podwórze. Po wejściu prawie zaraz spotkałem ks. prałata Dziwisza, który wiedział, że będę tam. Było nas parudziesięciu księży. Poubieraliśmy się w alby, nałożyli stuy i pousiadaliśmy się w pierwszych rzędach krzeseł. Do mszy było jeszcze blisko pół godziny.

Na parędziesiąt minut przed rozpoczęciem mszy św. weszli pielgrzymi. Było ich parę setek, tak że połowa podwórza była zapełniona.

Nagle o. Hejmo macha ręką i woła jakiegoś starszego kapucyna. Potem macha w moim kierunku. Nie dowierzałem, czy to chodzi o mnie. Językiem migowym dowiedziałem się, że to o mnie chodzi. Wyszedłem więc naprzód, a o. Hejmo pyta: „Zna jeszcze polski?”. „Zna” – odpowiedziałem. „To proszę podejść do ołtarza.” Jak to – pomyślałem – to będę koncelebrował z Ojcem św. przy samym ołtarzu? Ks. prałat Dziwisz ustawił mnie po lewej stronie. Zaraz też wyszedł Ojciec św. I tym razem nieco mi dech zapało: jestem znowu tak blisko Piotra naszych czasów. Ta lewa strona była dla mnie trochę nieszczęśliwa, bo musiałem wertować mszał – polski oczywiście, z którym nie bardzo byłem obznajomiony. Na szczęście tuż obok stał nieodzowny ks. prałat Dziwisz i mi pomagał.

Po mszy św. Ojciec św. poszedł zdjąć paramenty, a my księży stuy i alby. Jeszcze nie byłem gotowy, a tu ks. prałat Dziwisz mnie ponagla: „Szybko, szybko!” I prowadzi

mnie tam, gdzie w tej chwili wychodzi Ojciec św. Ojciec św. wyciąga do mnie ramiona i woła: „Flores, Flores!”. Obejmuje mnie i przyciska. Co ja w tej chwili czułem, nie zdołam opowiedzieć słowami. Papieski fotograf stoi obok i strzela zdjęcie za zdjęciem. Dostałem potem parę z nich. Chowam je jak skarb. A Ojciec św. trzymając mnie za rękę pyta: „co słysząc na Flores?” Opowiedziałem po krótko, co na Flores i w Indonezji, ale ks. prałat Dziwisz pilnuje programu i woła Ojca św. do pielgrzymów.



„Co słysząc na Flores?”

Wróciłem do alby, której przedtem nie zdążyłem zapakować. Za chwilę zjawiał się ks. prałat Dziwisz i zabiera mnie, windą, do jak najbardziej prywatnej części pałacu. Ks. prałat przekazuje mnie siostrze sercance, by mnie poprowadziła, gdzie trzeba. Najpierw do pokoju ks. prałata Dziwisza. Sprawdziłem, ale żadnych zakłóceń geopatycznych nie odkryłem. Potem do pokoju – sypialni papieża. O święta prostoto! Pokój nie większy niż mój w Surabaji. A to i sypialnia, i miejsce odpoczynku, gdzie Ojciec św. widocznie czyta prasę, bo na krześle widziałem Tygodnik Powszechny. Tu stwierdziłem żyłę wodną, dokładnie pod krzesłem przy małym stoliku. Ojciec św. siedział więc stale na żyłę wodnej. Powiedziałem do siostry, która mi towarzyszyła, że powinienem założyć kompensator na zewnątrz; trzeba wykopać dziurę, założyć kompensator i obmurować go ceglami. Czy jest tu osiągalny jakiś murarz? „Ojczy, my tu tylko jesteśmy gośćmi na parę tygodni. Ja nie potrafię tego załatwić.” Masz ci losie – pomyślałem. Kompensator więc założyłem przy oknie i umocowałem go specjalnym przylepcem. Powiedziałem siostrze, by wyjaśniła Ojcu św., co to jest, by się nie przestraszył, że mu ktoś podłożył w pokoju bombę. Dalszych jego losów nie znam.

Zjechaliśmy windą na dół i tam spotkaliśmy ks. prałata Dziwisza. Wyjaśniłem mu, że jego pokój jest bezpieczny, a w sypialni papieża założyłem kompensator, nie wyjaśniając bliżej, że kompensator powinien być zakopany. Widocznie mój umysł słabo działał, bo byłem głodny. Dochodziła 11., a ja jeszcze nawet nie miałem okazji się napić.

Na szczęście ks. prałat Dziwisz zapytał siostrę, czy mi dała jeść. „To co, siostra chce ojca misjonarza zagłodzić?”

Poszliśmy do jadalni i w mig siostry z kuchni naznosiły mnóstwo różnych smacznosci. Jak zwykle w klasztorze, siostra przełożona mi towarzyszyła. Z rozmowy dopiero dowiedziała się, że jestem misjonarzem w Indonezji. Musiałem więc opowiadać i opowiadać. Ja jej powiedziałem, że w 1958 r. przez 6 tygodni w ich domu w Krakowie zastępowałem kapelana (o. Arlika). Była cała gromada postulantek, które otrzymały habity. „W którym to było roku, ojczy?” „W 1958.” „To właśnie ja byłam jedną z nich, jednak sobie ojca jakoś nie przypominam.” „To niech siostra sobie mnie wyobrazi bez brody.” Śmiech! Trzeba było przyjechać do Castel Gandolfo, by spotkać siostrę, której ponad 30 lat temu codziennie udzielałem komunii św.

Zapytałem, czy ewentualnie mam sprawdzić również jadalnię i kuchnię. „Proszę!” Jedna żyła wodna przechodziła z kuchni do jadalni, druga w samej kuchni w kierunku spiżarni. Założyłem więc dwa kompensatory.

W kuchni prawie sama młodzież, tzn. same młode siostry. Były bardzo zajęte gotowaniem. Później dowiedziałem się, że Ojciec św. spodziewał się gości. Przyjechał abp. Jaworski i inni przyjaciele z Polski; Wojtyły studencka rodzina z Krakowa, teraz już z dziećmi. Jan Paweł II to naprawdę „papież, który pozostał człowiekiem”. Papieństwo nie przeszkadzało mu dalej utrzymywać serdeczne stosunki ze swoimi dawnymi przyjaciółmi.

Moje zadanie w Castel Gandolfo było zakończone, mogłem więc wracać do Nemi. Z wartowni straży szwajcarskiej zadzwoniłem do Nemi. Niestety br. Klemens pojechał odebrać kogoś na lotnisku i w domu nie było nikogo, kto mógłby po mnie przyjechać. Poszedłem do postoju taksówek. Przez ponad pół godziny żadna taksówka się nie zjawiała. Wróciłem na wartownię. Co tu dalej robić; jak dostać się do Nemi. Autobusu też nie było. Zastanawiałem się, czy nie pójść do ks. prałata Dziwisz. Ale tu zjechała kupa gości i ks. prałat ma inne sprawy na głowie. Po godzinie zadzwoniłem znowu do Nemi; br. Klemens jeszcze nie wrócił. Wreszcie jeden ze straży szwajcarskiej zaproponował mi, że mnie odwiezie, ale dopiero po godzinie 2, bo dotąd ma dyżur. Zgodziłem się.

Miałem teraz ponad godzinę wolnego czasu. Spędziłem ją na gwarzeniu ze „szwajcarami”. Podziwiałem, z jakim szacunkim i podziwem wyrażali się o Papieżu. „Wspaniały, prawdziwy człowiek, święty.”

Wreszcie mogliśmy pojechać. „Szwajcar” się przebrał i podeszliśmy do bramy, która prowadziła do papieskich ogrodów. „Mam tu zaparkowany samochód” – wyjaśnił mi. „Szwajcar” zapukał, z drugiej strony padło jakiś pytanie (może „hasło”), na które mój towarzysz odpowiedział i brama się otworzyła. „Papież jest?” – zapytał. „Nie” – odpowiedział mu kolega. „To jesteśmy nieco wolni” – powiedział do mnie i pozwolił mi nieco spojrzeć na ogród z miejsca, gdzieśmy weszli. Jest to ogromny ogród, pięknie utrzymany. Zapytałem, czy basen do pływania znajduje się tutaj. „Tak, na samym końcu ogrodu” – wyjaśnił mi. „Szwajcar” zabrał swój samochód z parkingu i ruszyliśmy w kierunku Nemi.

*

Te dwa spotkania były dla mnie niesamowitymi przeżyciami. Zapadły mi głęboko w serce i w pamięć. Teraz, gdy jest kandydatem na ołtarze, przeżywam to wszystko od nowa i dumny jestem, że byłem tak blisko ze świętym. Modlę się do niego z pełnym zaufaniem, bo to święty, z którym miałem zaszczyt się osobiście spotkać. Może coś z jego świętości spłynie na mnie. Chyba już spłynęło – w czasie tych spotkań.

9. kwietnia 2006 r.